

– Hej, może się zamienimy?

Na początku myślałem, że mówi do kogoś innego. Minałem go, więc powtórzył. Wtedy odwróciłem się i przyjrzałem mu uważnie. Jemu oraz papierowej torbie z Żabki, którą trzymał w wyciągniętej ręce. Wydawała się nieźle napakowana.

– Słucham? – zapytałem.

Wyglądał raczej zwyczajnie, nie sprawiał wrażenia ćpuna czy wariata. Koło trzydziestki, wysoki i przygruby, taki misiowaty. Trochę zarośnięty, ale nie jakoś bardzo. Ubrany sportowo, ale całkiem schludnie. W czapce z daszkiem i w okularach z grubymi oprawkami. Uśmiechał się szeroko i można było dostrzec, że nie ma jednego zęba. Skojarzył mi się z Sethem Rogenem.

Kiwnął głową na tę torbę, jakby to miało coś rozjaśnić.

– No, o co chodzi? – rzuciłem niecierpliwie.

– Chcę zamienić się zakupami, ziomuś.

Rzeczywiście, ja trzymałem w prawej dłoni identyczną papierową torbę, również potężnie wypchaną, pewnie podobnie ciężką. Odruchowo wymienilem w myślach, co się w niej znajduje. Cztery cole w puszkach trzysta trzydzieści mililitrów. Litrowa woda mineralna. Orzechowe Prince Polo. Szczelnie zapakowane tagliatelle z kurczakiem. Duże Lay's zielona cebulka. W sumie towar o wartości jakichś trzydziestu pięciu złotych. Niespecjalnie chciałem się z nim rozstawać.

Z drugiej strony, też jakoś wybitnie mi na nim nie zależało.

– Nie rozumiem po co – oświadczyłem, a misiaczek zaśmiał się grubym, zachrypniętym głosem, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

– Dla jaj – wyjaśnił. – A niby po co?

– No dobra, ale nie wiesz, co mam w środku, a ja nie wiem, co ty kupiłeś. Cholera wie, czy to mi się opłaca. Może u ciebie są tylko butelki po piwie i chcesz wyciągnąć ode mnie żarcie?

– A może jestem miliarderem, któremu się nudzi, a moja torba jest pełna hajsu?

– Nie wyglądasz mi na miliardera.

– A jak wygląda miliarder?

Tu mnie miał. Miliarderzy dość znacząco różnią się między sobą. Są wśród nich goście, którzy wyglądają jak chodzące zło, prawdziwi Leksowie Luthorzy, tacy jak Jeff Bezos. Są uśmiechnięci starsi panowie jak Bill Gates. Są przystojni szaleńcy w typie Tony'ego Starka, czy raczej Elona Muska. Może są wśród nich też śmieszne misiaki podobne do Setha Rogeny?

Koleś zauważył chyba moje wahanie, bo dodał szybko:

– No weź, ziomuś. W sumie co ci szkodzi?

No właśnie nic mi nie szkodziło. Czysto teoretycznie w torbie mogły być narkotyki, czy jakieś kradzione rzeczy, ale wtedy chyba raczej by mi ich nie oddawał. Bombę też wykluczyłem, bo to byłby niewiarygodnie głupi scenariusz zamachu. Wszystko wskazywało na to, że gość jest po prostu dziwny. A ja mogłem stracić co najwyżej trzydzieści pięć złotych.

Więc się zgodziłem. A on powiedział jeszcze:

– Tylko weź na razie nie zaglądaj. Dopiero jak wrócisz do domu. – Widząc moje zmieszanie, westchnął głęboko i wyjaśnił jak dziecku. – Inaczej nie będzie niespodzianki, prawda?

Gdy wracałem, zastanawiałem się, co ten koleś może o mnie pomyśleć.

Nie było chyba nic specjalnie dziwnego w orzechowym Prince Polo, baton jak baton. Woda mineralna też raczej w porządku. Co najwyżej mógłby powiedzieć do siebie „o, ten ziomuś pije Primaverę, a ja Nałęczowiankę, ale beka”. Może trochę dziwne, że kupiłem tylko litr, a nie na przykład dwa, ale to dlatego, że dwulitrowej Primavery nie ma w naszej Żabce. Może pomyśli, że kupiłem ją sobie do biegania? Byłoby fajnie. Nie, żebym biegał, w żadnym wypadku, w ogóle nie robię wiele poza siedzeniem na dupie, ale byłoby spoko, gdyby tak pomyślał.

Czy ja wyglądam, jakbym biegał? Chyba nie. Jestem chudy jak szczapa, ale w bluzie w sumie nie widać. Może wyglądam, jakbym miał jakąś formę. Może sprawiam wrażenie takiego małego, ale porządnego gościa, o jakimś sensownym stylu życia. Może.

Czy ludzie, którzy biegają, piją wodę, czy może raczej jakieś izotoniki, nie wiem, Oshee, czy coś podobnego? Cholera wie. Gdybym biegał to pewnie i ja bym wiedział.

No dobra, ale kolejne produkty były już bardziej istotne. Bo niby kto kupuje cztery cole w puszcze? Przecież to głupie. Jedna taka puszka kosztuje dwa osiemdziesiąt, czy coś takiego. No to jak masz cztery, to wychodzi... Tak jakoś... Jedenaście dwadzieścia, nie? To strasznie dużo kasy za mniej niż półtora litra. Już dwulitrowa cola kosztuje znacznie mniej.

Tylko że ja biorę leki, takie okropne leki, co to smakuje jak gówno i jeszcze bardzo długo się od nich nie uwolnię. I dlatego nie wolno mi pić alkoholu. A taka cola w puszcze jest jak piwo, syczy i smakuje wyjątkowo, relaksuje, jakby z jednej strony dawała energię, a z drugiej odpoczynek. Może to więcej gazu, może ten rytuał otwierania, to pyknięcie, to, że bulgocze, stojąc na biurku. To, że jest taką drobną namiastką zakazanego owocu. Ot, po prostu wolę puszkę.

A może on też woli puszkę? Może on uważa, że cola w plastikowej butelce w ogóle smakuje jak dupa i piją ją tylko przegrywy. Może robi na nim wrażenie, że wolę dopłacić więcej za towar lepszej jakości.

W końcu nie jestem plebsem, nie zadowolam się byle czym.

Może pomyśli sobie „huhuhu, prawdziwy człowiek kultury”?

Może nawet nie wyśmiej tego, że jem gotowe żarcie z Żabki. Nie, żebym się tego wstydził, ale... Dorośli ludzie to chyba sobie gotują, prawda? Albo przerywają pracę w biurze, żeby skoczyć na lunch do meksykańskiej restauracji. I siedzą tam sobie w garniturach, z teczkami, z laptopem i wcinają jakieś burrito, czy quesadillę, tak żeby nie uświnić swoich drogich ciuchów. A ja jem odgrzane w mikrofalach żarcie z Żabki, nawet nie nosząc przy tym spodni. Bo nie chce mi się gotować.

Gotować ani chodzić do restauracji, czy biegać. Tylko siedzę i piję tę colę, karmiąc swoją cukrzycę i pewnie koleś sobie pomyśli „kurde, ale żałosny facet”.

„Mogłem zamienić się z kimś innym”.

Gdy dotarłem do domu, usiadłem po turecku na łóżku i położyłem na nim papierową torbę. Z jakiegoś powodu bałem się do niej zajrzeć. Wcześniej specjalnie nawet nie spoglądałem w jej stronę. Teraz stała przede mną, brązowa z ciemnozielonym logiem, taka jakaś dziwnie majestatyczna, choć nierównomiernie wypchana. Jak skrzynia skarbów. Albo puszka Pandory.

Spędziłem dużo czasu, tępo się w nią wpatrując. Wreszcie westchnąłem głęboko, włożyłem do niej dłoń, cały czas nie patrząc i wymacałem pierwszy, duży, bardzo miękki przedmiot.

Okazało się, że większość torby zajmował chleb tostowy. Ten kwadratowy, przypominający watę i nieprzyjemnie słodki. Nie cierpię go. To znaczy, gdy już się go upiecze, smakuje całkiem nieźle, ale o wiele lepsze grzanki robi się ze zwyczajnego pieczywa. Takiego, które ma smak.

Bo wiecie, tak się składa, że ja uwielbiam świeży, ciepły chleb. Nieważne, jakiego rodzaju, czy z jakimiś ziarnami, czy taki bardziej sypki, czy zwarty. Ważne, żeby pachniał jak żółta piekarnia na mojej ulicy (którą dawno już zamknęli). Gdy przychodziłem do niej jako dziecko, czułem się jak Charlie w fabryce czekolady. Wszystko wokół wypełniał ten ciepły, przyjemny zapach, który wręcz mnie otulał, jakby całował na dobranoc. Chciałem zjeść wszystko, co tam było, by ogrzać się od środka tym uczuciem, tą miłością, która biła od chleba jak od ludzkiego serca. Ale kończyło się na kilku maleńkich bułeczkach, z którymi mama robiła mi kanapki do szkoły oraz jednym bochenku. Było to bardzo, bardzo dawno – kosztował wtedy zaledwie złotówkę.

No, ale nic. Każdy je takie pieczywo, jakie lubi. Kolejną rzeczą, którą wyciągnąłem z torby, był ser w plasterkach. Taki do tostów, co to każdy kawałeczek ma zawinięty w osobną folijkę (ku niewątpliwej radości matki ziemi) i trzeba obrócić go kilka razy, żeby wreszcie odpakować. Nie lubię tostów, nie lubię sera, więc odłożyłem go na bok i ponownie sięgnąłem do torby.

Znalazłem szklaną butelkę z sokiem jabłkowym. Takim o bardzo krótkim terminie przydatności do spożycia, więc pewnie całkiem zdrowym. Uwielbiam je, więc od razu wstrząsałem, odkręciłem i wypilem

go duszkiem. Nie chodzi o to, że jakoś specjalnie dbam o siebie – wręcz przeciwnie, jestem dość zapuszczony – ale takie soczki mają niepowtarzalny smak.

Gdy byłem dzieckiem, ale już takim w wieku szkolnym, coś koło siedmiu, ośmiu lat, mama kupowała mi podobny sok, ale przeznaczony raczej dla niemowląt. Nie był gęstą papką, jak Pysie albo Kubusie, ale nie był też zbyt rzadki. Odświeżający i sycący jednocześnie, jakbym zjadł całe jabłko. Do dziś natychmiast przychodzi mi na myśl, gdy słyszę o witaminach. Jeśli witaminy mają jakiś smak, to wierzę, że właśnie taki. Nie potrafię przypomnieć sobie niestety nazwy tego soku. Pamiętam tylko, że na butelce miał postać przypominającą Pyżę na polskich drózkach.

Och, rozmarzyłem się. Czas znów zajrzeć do torby z Żabki.

Tym razem wydostałem z niej dwie torebki budyniu w proszku. Takiego, który trzeba wsypać do gotującego się mleka (wstawiasz je do garnka, a potem czekasz, czekasz, czekasz, czekasz, aż wreszcie odwracasz na chwilę wzrok i wtedy zaczyna kipieć), a następnie bardzo długo mieszać. Jeden miał smak czekoladowy, a drugi waniliowy. Obydwa bardzo lubię, więc całkiem mnie to ucieszyło. Jestem zdecydowanie zbyt leniwy, żeby robić sobie budyń, ale gdy mieszkalem jeszcze z matką, jadłem go bardzo często. Nikt inny za nim nie przepadał, więc zawsze wychodziło kilka miseczek wyłącznie dla mnie. Jedną zjadałem niemal od razu, gdy budyń był jeszcze dość rzadki. Drugą w odpowiednim momencie. Trzecią następnego dnia, przed szkołą, po podgrzaniu w mikrofalówce (nie lubię zimnego budyniu). Tak na wspaniały początek dnia.

Kolejną rzeczą była kiść bananów. Odłożyłem ją na później. Następnie, ku swojego ogromnemu zaskoczeniu, wyciągnąłem obwarzanki. Nie miałem pojęcia, że sprzedają je w Żabce. Być może po prostu nie zwróciłem na nie uwagi. Obwarzanki... Obwarzanki są niezwykle. Dziś nie zachwycają już smakiem, raczej irytują twardością, ale gdy byłem dzieckiem, mogły być kolczykami, mogły być bransoletką, pierścieniami lub naszyjnikiem. Wtedy nie były zbyt twarde – były w sam raz, a przegryzienie jednego tak, żeby nie rozpadł się na kawałki, było zabawnym wyzwaniem.

Kupowaliśmy je na bazarze. Od miłej staruszki w chuście na głowie, która oprócz nich miała tylko pieczarki, cebulę i czosnek. Chodziliśmy tam przede wszystkim po tanie ubrania, ale zawsze udawało się naciągnąć mamę na jakąś zabawkę. Beznadziejnie pomalowaną figurkę z rakotwórczego plastiku (najistotniejszą zdobyczą był He-Man). Taką małąpkę czy pieska, co świeci, chodzi w kółko i nudzi się po trzech minutach. Gumowy miecz. Metalowy samochodzik. Mnóstwo skarbów.

I pirackie filmy Disneya na kasetach VHS.

W papierowej torbie znajdowały się jeszcze dwie rzeczy. Oranżadka w proszku, którą natychmiast wysypałem sobie na język (gdy byłem w podstawówce, mieliśmy z kolegami dziwny zwyczaj wciągania jej nosem). A także bańki mydlane. Chyba nie z Żabki, raczej z jakiejś Żłotóweczki czy innego Grosika, bo instrukcja była po chińsku, a na opakowaniu znajdował się Pikachu. Niebieski z jakiegoś powodu. Ale tak czy siak, były to bańki mydlane.

Resztę dnia spędziłem więc bardzo radośnie. Siedziałem na balkonie, cieszyłem się ładną pogodą, wcinałem banany (a wieczorem budyń) i wysyłałem w świat jak największe, delikatnie drżące bąbelki. W każdym z nich zamknięta była tęcza.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bernierdh, dodano 18.10.2021 21:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.